ŻYCIE WŚRÓD KONI

W CALE nie myślę Was przekonywać, że o losie ludzkim decyduje przeznaczenie, że człowiek nie ucieknie od tego, co mu pisane, że wszystkie życiowe uzdolnienia i zainteresowania dają znać o sobie już w najmłodszym wieku. Bo tak przecież nie jest. A że wiara w wypowiadane u progu życia proroctwa na temat dalszego losu jest u nas tak silnie zakorzeniona? To chyba zrozumiałe. Przecież choć często „na dwoje babka wróżyła", proroctwa spełnione dobrze utrwalają się w pamięci; chybione zaś — wygodniej z niej wymazać. Ludzka rzecz...

Zanim zostałem dżokejem...

Para rozszalałych koni poniosła tak, że woźnica całkowicie stracił nad nimi panowanie. Widząc to wyrwałem się prowadzącej mnie za rękę matce i pobiegłem je powstrzymać — **tak zaczął swą opowieść pan Jerzy Elias.** — Nie zdawałem sobie sprawy z grożącego niebezpieczeństwa. Na szczęście siłą impetu zostałem natychmiast powalony na ziemię. Konie przeszły nade mną, a ja znalazłem się między kołami powozu. Kiedy już było po wszystkim, okazało się, że nie doznałem żadnych obrażeń nie licząc lekkiego zadrapania...

C. d. na str. 4–5

To zdjęcie zostało zrobione podczas pracy w szpitalu koni. →

Świat MŁODYCH
GAZETA HARCERSKA
Nr 21 (2117) 14 marca 1972 r. Cena 50 gr

GDY TRZESZCZY LÓD...

TYLKO w ciągu ostatnich tygodni utonęło pod lodem 29 osób, w tym 23 dzieci — taką informację otrzymaliśmy z Komendy Głównej Milicji Obywatelskiej.

Pod pękającym lodem na rzece Odrze w pow. Nowy Tomyśl utonął 11-letni Ryszard Grol i 12-letni Jan Modrzyk. W Augustowie ślizgając się na zamarzniętej rzece wpadł do przerębla i utonął 9-letni Marek Rutkowski. To tylko kilka tragicznych przykładów...

Przestrzegamy wszystkich nieostrożnych, nierozważnych i ryzykantów przed wypróbowywaniem grubości pokrywy lodowej na wszelkich zbiornikach wodnych! Gdy pęka lód — nie pora na ślizgawkę! Nie wolno urządzać spacerów po krze lodowej! — taka zabawa zwykle kończy się tragicznie.

Pamiętajcie o młodszym rodzeństwie, o dzieciach sąsiadów i znajomych. Żadne dziecko nie może być narażone na niebezpieczeństwo!

Foto: CAF

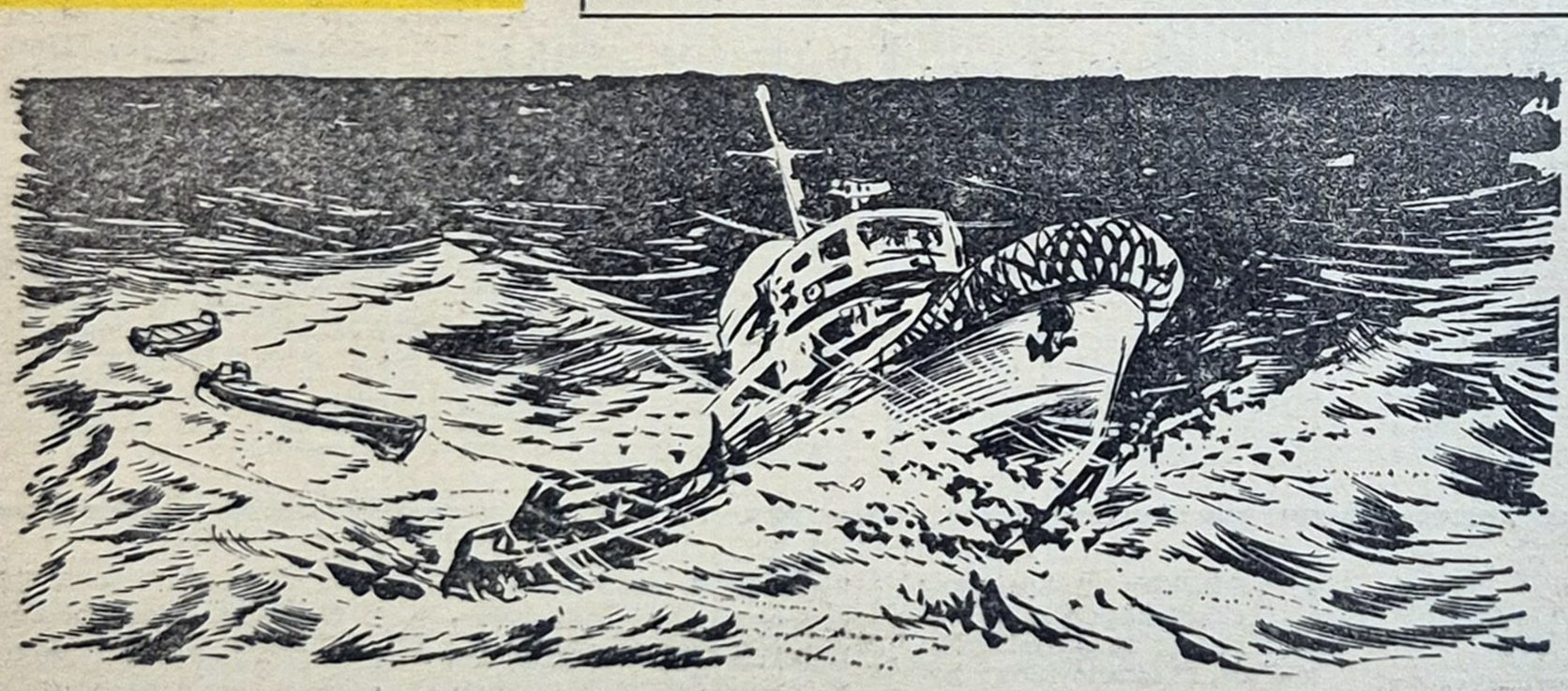

„HALS" na szalejącym MORZU

Holownik „HALS" przemierzał zimną pustynię. Wszystko dokoła było lodowym miałem kołysanym ciężkimi falami. Tylko na ich przełomach można było jeszcze dostrzec mętną niebieskawą wodę. Kruszywo lodowe chrobotało pod holownikiem i dwiema barkami, które „Hals" prowadził do przybrzeżnej bazy.

Młody kapitan Paweł Razumow obciągnął na waciaku zydwestkę, wyszedł na mostek, spojrzał na zegarek. Do Ochocka najwyżej cztery godziny. Trzeba się spieszyć. Na holowanych barkach jest 4800 kwintali świeżych śledzi. Należy ryby oddać i wracać na łowisko.

Śpieszył się Paweł Razumow, wyciskał co mógł z czterystu koni mechanicznych swego statku jeszcze z jednego powodu: nie podobało mu się niebo na południu. Szła wielka fala. Komunikat meteo zapowiadał cyklon.

C. d. na str. 3

ILE LAT MAJĄ LODY ELBRUSA?

● **Szczyt Elbrusa przykryty jest zawsze śnieżno-lodową czapą pięknie lśniącą na wysokościach w promieniach słońca. Wczasowicze i kuracjusze kaukaskich kurortów oraz liczni turyści, miłośnicy Kaukazu, zwykli uważać, że biała czapa Elbrusa liczy tysiące lat. Ale oto uczeni poddali badaniom 10 ton lodu pobranego ze szczytu i stwierdzili, że lodowa pokrywa najwyższych partii najwyższej góry Kaukazu ma zaledwie... 340 lat!**

ZNAKI DROGOWE MRÓWEK

● **Entomolog z Alma-Aty, P. Marikowski, stwierdził, że pewien gatunek maleńkich pustynnych mrówek korzysta w swych wędrówkach po powierzchni ziemi ze znaków drogowych. Obserwacje pozwalają przypuszczać, że niektóre z mrówek są „topografami", inne — „malarzami szlaków" — jedne wytyczają — najczęściej zupełnie proste — drogi, inne znaczą je kropelkami ciemnej, pachnącej cieczy. Znaki te przypominają kropki i przecinki. Być może przecinki wskazują drogę do mrowiska. Mrówki wędrują trasami gęsiego, jedna za drugą, nie zbaczając z wytyczonych dróg. (j.k.)**

Wg. „Sowieckiego Sojuza"

ZIELONE PŁUCA KRAJU

RATUJMY OJCZYSTĄ PRZYRODĘ! To wezwanie jest dziś szczególnie aktualne. Niejednokrotnie już pisaliśmy w „Świecie Młodych" o katastrofalnym stanie naturalnego środowiska człowieka w wielu rejonach naszego globu. Również w Polsce istnieje wiele poważnie zagrożonych środowisk biologicznych. Dlatego Państwowa Rada Ochrony Przyrody — dzięki współpracy wybitnych polskich uczonych i specjalistów — wytypowała szereg terenów w naszym kraju, które ze względu na swe przyrodnicze walory powinny znaleźć się pod szczególną opieką, by w nich nie zepsuć tego, co stworzyła natura, co może cieszyć oko człowieka, dawać mu zdrowie i wytchnienie. Będą to parki krajobrazowe i strefy chronionego krajobrazu. O nich właśnie chcemy Wam dziś opowiedzieć.

PARKI KRAJOBRAZOWE — OAZY CISZY

PARKI KRAJOBRAZOWE stworzone będą na terytoriach, które odznaczają się unikalnością krajobrazu oraz szczególnymi walorami przyrodniczymi. Będą to — innymi słowy — **parki natury** oraz — co też **niezmiernie ważne — parki ciszy.** Na ich terenie nie będzie się budowało arterii przelotowych, dużych ośrodków rekreacyjnych, a przede wszystkim żadnych dużych obiektów przemysłowych. Przewiduje się natomiast na tych obszarach **szlaki turystyczne piesze i wodne,** ale tylko dla takich turystów, którzy lubią **bezpośredni kontakt z „dziką" przyrodą,** a nie szukają komfortu.

Wytypowano 15 obszarów dla parków krajobrazowych: w Puszczy Bukowej, na Pojezierzu Kaszubskim, Pojezierzu Mazurskim, w okolicach jezior Wigry i Gopło, w rejonach Góry Ślęży, Gór Stołowych, Masywu Śnieżnika, w Gorcach, Beskidzie Wysokim i Śląskim, w Dolinie Popradu, w rejonie Roztocza i zespole Jurajskim. **Parkiem krajobrazowym będzie również Leśny Pas Ochronny** (zwany w skrócie LPO) **w woj. katowickim.** Piszemy o nim oddzielnie na tej stronie.

ODPOCZYWAMY W STREFACH CHRONIONEGO KRAJOBRAZU

NA NIECO INNEJ ZASADZIE oparte będą *strefy chronionego krajobrazu.* Będą to tereny *dostępne dla masowej turystyki i wygodnego wypoczynku.* Usytuowane będą również w malowniczych okolicach, ale w niewielkiej odległości od wielkich skupisk miejskich oraz dużych fabryk. Przeważnie *rozciągnięte będą wzdłuż szlaków wodnych lub nad dużymi zbiornikami wodnymi* naturalnymi i sztucznymi.

W przeciwieństwie do parków krajobrazowych, strefy będą wyposażone w ośrodki campingowo-noclegowe i gastronomiczne. Budowane będą tu również sanatoria, uzdrowiska, hotele i motele, a także bazy weekendowe.

Proponuje się, aby podobnie jak w parkach, również w strefach pozostawić *tylko naturalną gospodarkę rolną i leśną.* Budownictwo również powinno nawiązywać do regionalnego stylu. Słowem — po przekroczeniu granicy strefy każdy musi odczuć, że znalazł się *na obszarze specjalnym,* różnym od reszty kraju i od innych regionów.

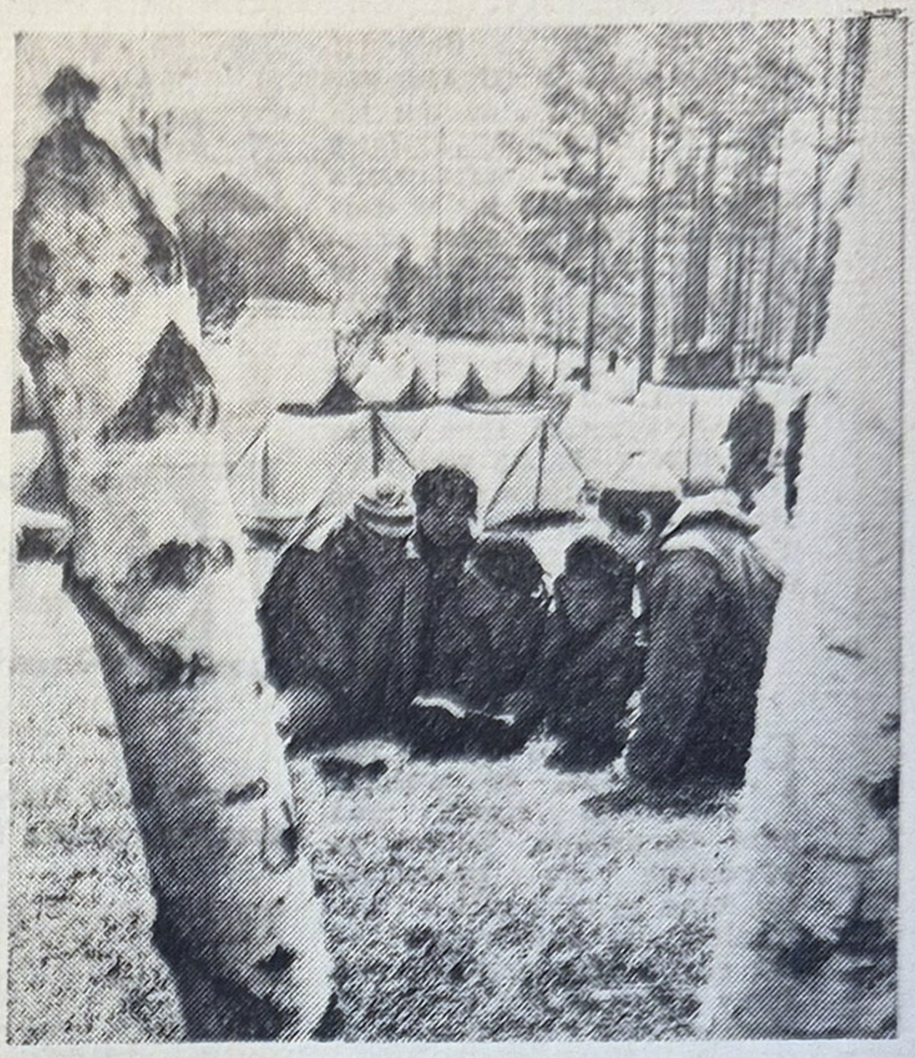

MIASTA I LASY

● **Ustalono, że dopuszczalny opad pyłów przemysłowych bez szkody dla zdrowia człowieka wynosi 250 ton na 1 km² w skali rocznej. Stwierdzono, że opad ten w Leningradzie wynosi 298 ton, w Nowym Jorku 325 ton, w Londynie 470 ton, w Katowicach i Łodzi 550 ton.**

● **Wiele miast na świecie posiada planowo zagospodarowywane leśne pasy ochronne. Zielony pierścień Londynu posiada szerokość 10—20 km, leśne terytorium wokół wielkiej Moskwy obejmuje obszar o promieniu 50 km. Podobne strefy ochronne dla Tokio i Paryża określone są promieniem 100 i 80 km.**

ROŚLINY GINĄ!

● **124 gatunki roślin, w tym 5 gatunków drzew, 9 gatunków krzewów i krzewinek oraz 110 gatunków roślin zielnych znajduje się u nas pod ochroną. Nie wolno ich zrywać, niszczyć, ścinać, usuwać z ich naturalnych stanowisk oraz sprzedawać i kupować. Ale, niestety, niektóre gatunki giną bezpowrotnie. Budowa zakładów przemysłowych, wydobywanie kopalin, pokrywanie gleby pyłami czy chociażby osuszanie podmokłych terenów wpływa na zanikanie roślin chronionych i nie tylko chronionych. Już dziś wiadomo, że ochrona roślin rzadkich będzie musiała wkrótce przybrać inne rozmiary. Może trzeba będzie zwiększyć ochroną rezerwatową, a na pewno lecznicze i przemysłowe rośliny, będące obecnie pod ochroną, trzeba będzie hodować na specjalnych plantacjach. Warto może już dziś pokusić się o wprowadzenie w celach poznawczych miejscowych roślin chronionych do uprawy na działkach przyszkolnych.**

LEŚNY PAS OCHRONNY GOP

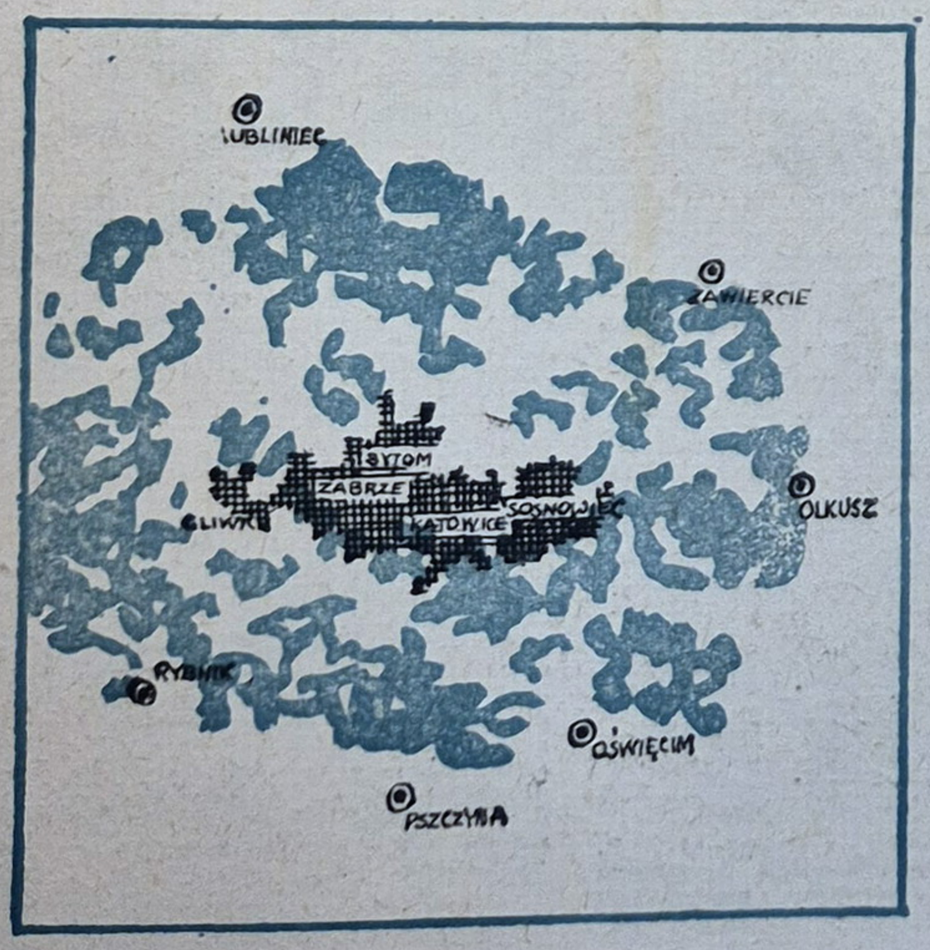

OBECNY krajobraz Górnośląskiego Okręgu Przemysłowego (GOP) ukształtowany został pod wpływem działalności przemysłowo-gospodarczej człowieka i związanego z nią rozwoju miast na tym terenie. W ciągu ostatnich 150 lat, obok postępującego niszczenia gleby, roślinności, klimatu, następowało systematyczne wylesianie, któremu uległa centralna część niecki węglowej. Las ustąpił miejsca miastom, osiedlom, zakładom przemysłowym, urządzeniom komunikacyjnym i specyficznym nieużytkom przemysłowym.

W zasięgu intensywnego zanieczyszczania powietrza znajduje się w GOP 98,5 proc. wszystkich drzewostanów państwowego gospodarstwa leśnego; na ogólną ilość 933 km rzek i strumieni w woj. katowickim — 55 proc. (546 km) zanieczyszczonych jest ściekami przemysłowymi i komunalnymi; w obrębie GOP-u istnieje 1000 ha zapadlisk z postępującym procesem zamierania okalających je drzewostanów. Na terenie GOP-u znajduje się 3700 ha różnego rodzaju nieużytków przemysłowych.

W tej sytuacji już od lat kilku wojewódzkie władze partyjne i administracyjne podjęły bardzo szerokie działania zmierzające m.in. do ratowania resztek słynnych lasów śląskich przed ich ostateczną zagładą. Powstał plan utworzenia Leśnego Pasa Ochronnego GOP, obejmującego nie tylko centralną, „miejską" część GOP, ale także szeroką strefę ochronną. Prowadzi się więc takie prace jak zagospodarowywanie hałd i wyrobisk, zakładanie nowych terenów zielonych, „przebudowę" istniejących roślinności, sadzenie olbrzymich połaci lasów.

Chodziło głównie o to, by umożliwić mieszkańcom GOP-u jak najszerszy kontakt z przyrodą, dać możliwość wypoczynku po ciężkiej pracy.

Za najbardziej korzystne i w pełni odpowiadające potrzebom śląskim tereny rekreacyjne uznano obszary leśne nadleśnictw: Gołonóg, Murcki, Panewnik, Świerklaniec i Wieszczowa o łącznej powierzchni 30895 ha oraz lasy komunalne Gliwic, Zabrza, Bytomia i Dąbrowy Górniczej o łącznej powierzchni 1545 ha, a także rozdrobnione lasy chłopskie (ok. 4000 ha). Utworzony w ten sposób Leśny Pas Ochronny obejmuje około **36000 ha powierzchni leśnych okalających GOP pierścieniem zieleni wysokiej.**

LPO — GOP będzie w przyszłości rozciągał się w **promieniu 30 km od zespołu głównych miast:** Bytomia, Sosnowca, Gliwic i Katowic, **obszar zaś lasów** położonych na tym terytorium **wyniesie 180.000 ha.**

Kolumnę opracował:
JAN STYKOWSKI

WOLNOŚĆ, SWOBODA...

KILKA DNI TEMU drukowaliśmy list Kariny, która narzekała na brak swobody i żądała przyznania jej należnej każdemu człowiekowi wolności. Dzisiaj zabiera na ten temat głos następna czytelniczka:

Nudzę się

WIERZCIE MI, że co innego jest wypowiadać się na czyjś temat, a co innego być samemu w okropnej sytuacji, gdy się nie jest przez nikogo rozumianym.

Mam 17 lat, jestem uczennicą i po prostu jestem znudzona, a nawet wręcz załamana monotonnością życia, jakie muszę prowadzić. W tym cały sęk, że nigdzie mi nie wolno chodzić. Gdy wracam ze szkoły, to cały czas siedzę w domu.

Z kolegami nie wolno mi się spotykać, no bo „co" może z „tego" wyniknąć?! O jakichś wieczorkach czyli tzw. prywatkach mowy być nie może, bo przecież „ta młodzież"...

Ja mam dosyć! Naprawdę! Mieszkam w centrum stolicy, i moją jedyną „ROZRYWKĄ" jest wyjście do sklepu, a wtedy korzystam z okazji i chodzę po mieście oglądając wystawy. I to wszystko.

Mówi się czasem, że dom jest najmilszą przystanią, ale dla mnie siedzenie w nim to katorga. No bo co ja mam z tego? Jestem jedynaczką i nie dość, że mam „takich" rodziców to jeszcze się nudzę SAMA.

Dużo czytam, ale ostatecznie nie samą książką człowiek żyje. Moje koleżanki „chodzą" z chłopcami, chodzą na wieczorki taneczne do różnych kiubów i znajomych — ja nigdzie! Naprawdę trudno to wytrzymać! Jestem zupełnie zrozpaczona.

GRAŻYNA J.
Z WARSZAWY

A Wy, co myślicie na ten temat?! Czy macie dosyć swobody czy jej Wam brakuje? I jeszcze jedno pytanie — jak macie zamiar tę uzyskaną wolność i swobodę spożytkować, do czego jest ona potrzebna?!

Czekamy na Wasz udział w dyskusji. Na kopertach nie zapominajcie zaznaczyć: Klub Nastolatków — „Wolność, swoboda..."

C.d. ze str. 1

»HALS« na szalejącym MORZU

Nagle kutrem wstrząsnęło. Wyprężył się maszt, uderzyły w burty i ściany nadbudówki porwane z grzywaczy lodowe grudy. Podstępne Morze Ochockie zwróciło przeciw małemu holownikowi swą odwieczną broń, tzw. szełkap.

Strzeż się szełkapu na otwartym morzu — mówią Ewenkowie. Szełkap zapowiada burzę, wie się o tym na wybrzeżu ochockim.

Po Kołymie i Sachalinie, w chabarowskiej tundrze krążą legendy o złym charakterze Morza Ochockiego. Natura umieściła je w niespokojnym miejscu — na granicy Wielkiego Kontynentu i Oceanu Wielkiego. Tu się zderzają wiatry znad wody i lądu, stykają prądy powietrzne i morskie, tu wiecznie kłębią się chmury i niema cisza. Tu jest „obozowisko" tajfunów. Zrodziwszy się gdzieś w Indonezji, zalewają deszczami i falami Japonię, przebijają się przez górskie łańcuchy i cieśniny. W Morzu Ochockim tajfun traci ciepło, ale nie siłę.

I to nie wystarcza, aby narysować portret Morza Ochockiego. Są jeszcze podwodne trzęsienia ziemi, tsunami. Tu jest najwyższy przypływ w Związku Radzieckim. I prawie zupełny brak zatok na skalistym wybrzeżu. Aż dziw, jak się człowiek odważył **pływać po takim morzu.**

Ale ze wszystkich niebezpieczeństw czyhających na rybaka i myśliwego w otwartym morzu najstraszniejszy jest szełkap. Tak się tu nazywa wiatr przybrzeżny. Jest zimniejszy od morza. Szełkap to huraganowy wicher z północy, od lądu. Nie ma sobie równych pod względem siły. Niejeden śmiałek przypłacił życiem zuchwałą próbę walki z nim. Na otwartym morzu znalazł się na jego drodze mały holownik „Hals".

Paweł Razumow jeszcze raz ogarnął wzrokiem horyzont i skoczył do maszynowni. Piętnastu ludzi załogi, wszyscy młodzi chłopcy, od roku do dwóch lat praktyki, przygotowywali się do walki z huraganem. Zamocowali liny, zamknęli hermetycznie luki, błysnęła na maszcie dodatkowa sygnalizacja, ożył radar. Holownik zwolnił bieg, wyrównał kurs dokładnie pod wiatr, naprzeciw fal. Ledwo radiotelegrafista nawiązał łączność z portem, zrobiło się ciemno, o godzinę wcześniej zapadła noc. Termometr wskazywał minus trzydzieści stopni.

Z każdą chwilą coraz trudniej było kierować statkiem. Holownik trzeszczał i dygotał, każdy szew i nit był potrójnie obciążony. Białe jak kasza fale dochodziły do dziewięciu metrów wysokości. Załoga „Halsa" nie widziała barek. Słyszała tylko łomot zderzających się burt. Huragan zmienił zwykły szyk: holownik, pierwsza barka, druga barka. Dwa statki z tyłu miotają się bezładnie na falach ciągnąc za sobą „Hals", wytrącając go z kursu. Hol zwisł i zniknął w głębinach. Szełkap porwał konwój i poniósł go na otwarte morze. Silnik ucichł.

Uszkodzenia nie dało się znaleźć. Maszyniści i mechanicy dotarli do każdego dostępnego miejsca silnika — wszystko w porządku. A silnik milczy. Kapitan klnąc przeszedł na rufę. Wiatr mu dech zapierał, twarz pokryła się szronem, ale zdążył dojrzeć: lina.

Krzyknął przez tubę:

— Lina na śrubie!

Wyjście jest jedno — ktoś musi zejść za burtę, żeby uwolnić od splątanej liny śrubę. Ale kto?

Wystąpił drugi mechanik Włodzimierz Ortikow:

— Kto ze mną?

Trzech w maszynowni, załoga na rufie, dwóch za burtą, na rozkołysanych sztormtrapach — Ortikow i marynarz Walenty Michajłow.

Trwało to prawie trzy godziny. Ile to minut, ile sekund? Każda może być ostatnia w ich życiu — uderzy fala o burtę, wreszcie zamrozi po prostu. I wtedy — koniec. Wszystkich. Ale udało się. Nadludzkim wprost wysiłkiem Ortikow i Michajłow wyzwolili okrętową śrubę z pęt stalowej liny holowniczej.

Ożył silnik. „Hals" zawrócił na poszukiwanie barek, roztrzęsiony, malutki holownik. Sam na sam z okrutnym morzem, z dzikim szełkapem, uginając się pod brzemieniem lodu, który pokrył statek.

O świcie ochocki port rybacki przyjął 4800 kwintali śledzi dostarczonych w ładowniach dwóch barek bez własnego napędu, przyprowadzonych przez małego, dzielnego „Halsa". Tego dnia „Hals" odpłynął w następny rejs, w okolice wyspy Spatarjewa.

Wg „Sowieckiego Sojuza"

Oprac. J. K.
Rys. J. Rocki

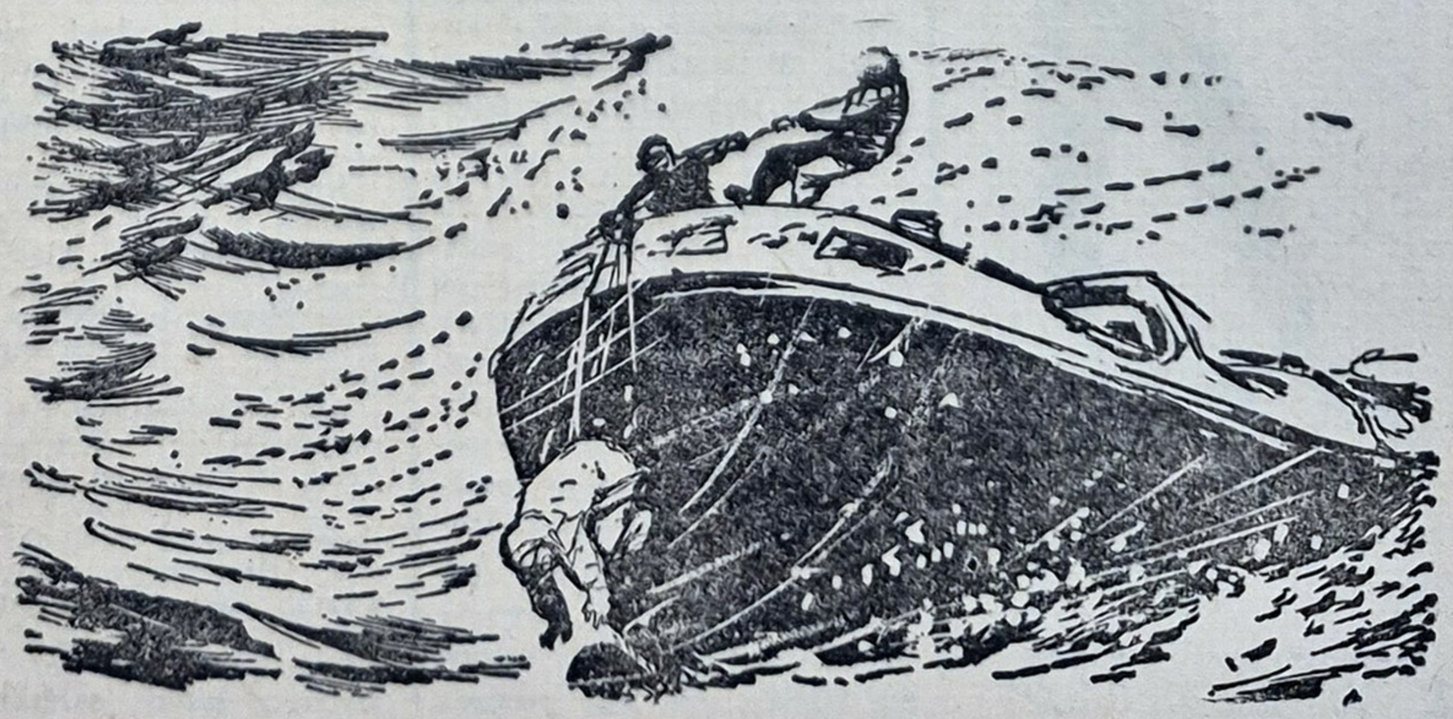

Pasje Waszych kolegów

IRMA

● **Małą wioskę Szentpeterszeg we wschodnich Węgrzech rozsławiła w wielu krajach świata jej trzynastoletnia mieszkanka, Irma Pasztor. Niezwykle utalentowana młoda malarka zajmująca się tworzeniem prostych, bezpośrednich i zrozumiałych dla każdego rysunków, zajęła w 1971 r. pierwsze miejsce w dziecięcym konkursie rysunkowym w Indiach zdobywając tam złoty medal. Rysunki Irmy są eksponowane na licznych wystawach światowych.**

Talent swój Irma rozwija pod okiem swojej nauczycielki ze szkoły podstawowej. Prace 13-letniej malarki przedstawiają głównie młodzież szkolną podczas zajęć, życie i codzienną pracę mieszkańców wsi, krajobrazy, widoki miast...

WITIA

● **Uczeń czwartej klasy szkoły muzycznej z Kurska, Witia Chmielewski, zaczął komponować mając.... 5 lat. Do tej pory skomponował ponad sto utworów muzycznych, w tym dwa poematy: „Lisie święto" i „Poleczkę". Utalentowanym chłopcem zaopiekował się profesor Konserwatorium Moskiewskiego, znany kompozytor radziecki, Dymitr Kabalewski.** (jk)

C. d. ze str. 1

ŻYCIE WŚRÓD KONI

Działo się to w którąś z niedziel 1933 roku. Miałem wtedy zaledwie 3 lata. „Ten chłopak nie będzie mógł żyć bez koni" — powiedzieli wówczas ludzie. I mieli rację.

Pierwszy raz siadłem na konia, zanim jeszcze poszedłem do szkoły. Pamiętam, że była to klacz. Nazwałem ją Dora*), bo skórę miała izabelowatą, taką jak złoto. Kiedy na nią zagwizdałem, przybiegała do mnie, żebym nie wiem gdzie był. Podczas wojny uratowałem konia, którego chciano zastrzelić, bo został ranny. Wołałem na niego Bento; był czarny jak kruk. Front przeszedł, leczyłem go i wyleczyłem. Nikogo nie słuchał oprócz mnie. Po wojnie, jeszcze jako dzieciak, ujeżdżałem młode konie pod siodło. Kiedyś w czasie takiego zajęcia zainteresowano się moimi umiejętnościami. Wtedy — już młody chłopak — przyjechałem po raz pierwszy na tor wyścigowy na Służewcu w Warszawie. Po miesiącu jeździłem na wszystkich 20 koniach z mojej stajni. Dopiero tu nauczyłem się wyścigowego siadu, bo przedtem siadałem na oklep, bez siodła, jak Indianin. Po upływie pół roku trener pozwolił mi na pierwszą gonitwę przed publicznością. Dżokejem zostałem dopiero po 100 wygranych.

Pan Jerzy Elkis od 24 lat związany jest z torem wyścigowym na Służewcu. Do 1952 r. był dżokejem. Od 17 lat pracuje w szpitalu koni. Jest trenerem i opiekunem młodej kadry jeździeckiej. Już pięć lat pełni odpowiedzialną funkcję sędziego startera.

Bizet — syn Carmen

Jako dżokej jeździłem na wielu koniach, ale najczęściej wspominam Bizeta. Ten arab — to był wyjątkowy dzikus i nerwus. Prawie nigdy nie chodził kłusa, od razu galopował. Potrafił to robić nawet w miejscu, jak konie cyrkowe! Nie pozwalał dotykać swojej głowy, więc zakładano mu tylko uździennicę, do której przypięte miał wędzidło, czyli munsztuk. Ponosił, uciekał.

Po kilku wypadkach trener postanowił posadzić na Bizeta mnie. Byłem już wówczas (1951 r.) doświadczonym jeźdźcem, ale najmłodszym z tych, co na nim próbowali. Okazało się, że strasznie przypadliśmy sobie do serca. Polubiłem go za to, że był właśnie taki rozbójnik. (Podczas treningów miał przypięty specjalny pas, gdyż za wysoko podnosił głowę i mógłby mi wybić zęby). Dzisiaj podobne konie odsyła się do stadniny, by nie ryzykować życiem jeźdźca, wtedy — na moją prośbę — zatrzymano Bizeta, bo obiecałem, że będę się z nim całą zimę męczył, a na wiosnę wystartuję. Sam go ubierałem, siodłałem, sam doglądałem. Podkuć się jednak nie dał, biegał więc bez podków, co było nie spotykanym na torze wypadkiem.

Wierzyłem, że właśnie na nim będę odnosił sukcesy; rozumieliśmy się.

Nadeszło otwarcie sezonu. Mój koń miał biec na dystansie 2 200 metrów. Przy publiczności nie pozwalał się dosiąść, bał się, musiałem to zrobić w boksie.

— Jazda! — krzyknął sędzia starter. Ruszyliśmy wszyscy, jednak tamte konie były szybsze i od razu „poszły w dystans". Po przebyciu 1000 metrów ciągle byłem szósty. Czyżbym miał na tej pozycji przyjść do celownika (mety)? Wychodzimy na ostatnie 500 metrów przed trybunami z publicznością. Zrobiło mi się wstyd, że jadę tak na samym końcu, uderzyłem konia batem, a wtedy mój Bizuś jakby nowych sił nabrał. Omal ze skóry nie wyskoczył i w szalonym tempie zaczął dochodzić do pierwszych koni. Już ostatnie 100 metrów. Szał na trybunach! Nie był przecież faworytem. Zwycięstwo!

To był ogromny sukces. Płakałem z radości. Przepraszałem Bizeta za to, że go musiałem uderzyć. Gładziłem bolące miejsca. Wybaczył...

Od tego dnia nikomu już nie pozwoliłem na nim jeździć. Oszczędności wydawałem dla niego. Następny dystansie 2 400 metrów łem w taki sam sp była to już lepsza g Potem nadszedł dzień, mój Bizet miał się jeszcze lepszą konku wyścigu o nagrodę El — Jazda!

Znów nie mogłem pierwszymi. Dystans m a prowadzącym wyno czątku aż 150 metró 500 metrów przed met Batuchan miał przewa ok. 50 metrów. — Nie, nieprawdopodobne, złapał — pomyślałem prosiłem Bizeta, pow „wybacz" i uderzyłem zy. Wyciągnął się jak ku strasznemu niez publiczności (zakłady dosięgnął faworyta. go o dwie długości. dziego brzmiał: wygra ce.

Koniec mojej i jego k

Zbliżał się ostat ki dzień próby pupila: derby a dystansie 3 000 met piękna upalna niedz razem aż dziewięciu k do wstęgi spotkało się Z niepokojem zauwa Bizet okazywał duże wanie. Był spocony i Miałem złe przeczucie

Z CIĄGŁÓWEK DO SAPPORO

3)

Pewnie wylądował, wzniósł rękę do góry i dziękował japońskiej publiczności za owacje.

Pojechał więc **Wojtek Fortuna** do Sapporo jako rezerwowy. I okazał się — można dziś z satysfakcją powiedzieć — rezerwą niezbędną, bez której nie mielibyśmy się czym w konkurencji skoków pochwalić.

Na średniej skoczni, Miyanomori, zaskoczył wszystkich zdobywając wysokie, szóste miejsce i pierwszy punkt dla polskich barw. Zaskoczył fachowców iście japońską brawurą połączoną z polską fantazją. W Sapporo zaczęto się liczyć z zawodnikiem z dalekiej Porando.

Wielotysięczna japońska publiczność nagrodziła skoki Wojtka długo nie milknącymi oklaskami. Rodacy śledzący olimpijskie zmagania przy telewizorach przywitali ten sukces młodego skoczka z radością. Nazwisko Fortuny pojawiło się na pierwszych stronach polskich gazet. My też, w „Świecie Młodych", opowiedzieliśmy Wam o tym wyczynie Wojtka. Ale jego gwiazda miała zabłysnąć pełnym blaskiem dopiero za kilka dni.

POLSKI TAJFUN NA OKURAYAMA

W **konkursie** na Miyanomori potrójne zwycięstwo odnieśli Japończycy, zajmując trzy pierwsze miejsca. Nikt więc z pięćdziesięciotysięcznej publiczności nie wątpił, że i tym razem na dużej skoczni Okurayama ich rodacy powtórzą ten sukces. Tym bardziej, że w czasie skoków treningowych uzyskiwali oni również lepsze od innych wyniki.

Treningowe skoki nie wychodziły Wojtkowi najlepiej, chociaż wiadomo było, że duże skocznie najbardziej mu odpowiadają.

Nadszedł dzień zawodów. Wojtek wylosował numer „29". Wystartował więc na tej pozycji.

— „Setka" będzie! — przed wejściem na rozbieg zapewnił trenera.

Ale i sto metrów nie gwarantowało mu sukcesu. Wiedział, że ma słabe lądowanie, za co mu sędziowie odliczą zapewne sporo cennych punktów. Postanowił więc za wszelką cenę skoczyć jak najdalej.

Stanął na rozbiegu, kiedy japońscy kibice oklaskami i wrzawą nagradzali skok swego reprezentanta, Konno. Ale to go w tej chwili nie interesowało. Starał się skupić, opanować nerwy. W końcu sędzia dał znak. Ruszył. „Byle tylko dobrze trafić na próg..." — pomyślał. — „Wtedy mam szanse".

Poczuł, że trafił doskonale, odbicie wyszło z dokładnością do centymetra, do ułamka sekundy. Teraz pozostało tylko „ciągnąć" długość. Położył się głęboko na nartach, czołem dotykając nieomal ich czubków. Widział tylko końce swoich desek. Wszystko pozostałe migało w zawrotnym tempie. Trybuny, publiczność, liczby oznaczające długości skoków — zlały się w jedną bezkształtną masę. W pewnym momencie dostrzegł czerwoną linię oznaczającą punkt krytyczny skoczni. Skoki poza tą linię nie należą już do bezpiecznych. Ale chłopak ani myśli o lądowaniu, ma jeszcze pewien zapas wysokości. Nie zmienia pozycji ciała. „Dalej, dalej, jeszcze dalej..."

Czerwona krecha mignęła pod nogami. Jeszcze jest w powietrzu. Już wie, że skoczył grubo ponad 100 m.

Gdy wylądował, usłyszał głośny jęk tysięcy kibiców. Przez moment wszyscy bowiem sądzili, że ten polski „kamikadze" rozbije się na drobne szczątki. Tymczasem on stanął pewnie na nartach, wzniósł ręce do góry i tak pozostał w tym geście zwycięzcy aż do momentu ukazania się wyniku.

— 111 metrów! — ogłoszono przez megafony.

„Niemożliwe! — przemknęło mu przez myśl. — To chyba pomyłka, figiel aparatury..." Ale szalone owacje publiczności potwierdzają ten rezultat. Za chwilę też pojawia się na tablicy świetlnej fantastyczna nota... 130,4 pkt! „To nie halucynacje, to rzeczywistość."

Publiczność w dalszym ciągu fetuje wyczyn Polaka, któremu do pobicia rekordu skoczni zabrakło zaledwie 1,5 metra. Nota, którą otrzymał za styl, jest najlepszą w historii igrzysk olimpijskich i mistrzostw świata!

NERWY ZAWODZĄ

Po **Wojtku** startują następni zawodnicy. Wprawdzie Kasaya, Wolf, Napalkow uzyskują również świetne wyniki, jednak daleko odbiegające od ilości punktów otrzymanych przez Fortunę. Sensacja, wielka sensacja! Fortuna prowadzi po pierwszej kolejce skoków.

Zaczyna się druga. Wojtek ponownie staje na rozbiegu, który sędziowie skrócili w obawie przed upadkami zawodników. Jeszcze trudniej teraz utrzymać nerwy na wodzy. Wbrew woli denerwuje się. To paraliżuje jego ruchy. Jest przecież jeszcze młodym, niedoświadczonym zawodnikiem. A jednak nie rezygnuje, za wszelką cenę chce wygrać.

Tym razem odbicie nie wychodzi mu już tak idealnie, jest o ułamek sekundy spóźnione. Fortuna wie o tym. Szybko koryguje lot i znowu maksymalnie wychyla się do przodu. Tylko taka pozycja gwarantuje osiągnięcie dłuższego skoku. Ale przez to opóźnione odbicie Wojtek nie leci już tak wysoko i szybko

na cukier
wyścig na
w wygra-
osób, choć
rupa koni.
w którym
spotkać z
rencją w
Kabira.

nadążyć za
między mną
sił na po-
w! Potem,
ą, faworyt
agę jeszcze
to wprost
żebym go
i... prze-
widziałem:
kilka ra-
struna i
adowoleniu
pieniężne)
Wyprzedził
Wynik sę-
na w wal-

ariery

ni i cięż-
dła mojego
rabskie na
rów. Była
iela. Tym
andydatów
na starcie.
żyłem, że
zdenerwo-
w pianie.
.

Przed startem. Na sygnał: jazda! przeszkoda z linek pójdzie w górę.

Tempo było wyjątkowo wolne. Upał! Według dyspozycji trenera powinienem był jechać za przedostatnim koniem. Ale tym razem Bizet od razu wyrwał do przodu. Przez 500 metrów zmagałem się z nim, bo nie wolno mi go było puścić. Dopiero po przebyciu 2 km miałem, jak zwykle, pobudzić konia do finiszu. Zrobiłem to. Pobiłem w polu 4 konie. Przede mną jeszcze trzy. Naprzód, Bizet! Na 100 m przed końcem, kiedy go popędzałem po raz ostatni, wyczułem, że już nic z siebie nie da. Przyszedł czwarty. Przegraliśmy największą nagrodę. No cóż, nie zawsze się wygrywa...

Całą noc przesiedziałem z nim w boksie. Pocieszaliśmy się nawzajem. W następnym tygodniu musiałem wyjechać do Sopotu z innymi końmi. Na Bizecie jeździli koledzy. Nie panowali nad nim. Znów szalał, a podczas jednego z treningów zerwał ścięgno. Został odesłany do stadniny.

Po powrocie z Sopotu, gdzie podczas wyścigu uległem ciężkiemu wypadkowi, nie pytałem o mojego dzikiego Bizeta. Bałem się usłyszeć, że może już nie żyje. W tym czasie skończyła się nie tylko jego, ale i moja sportowa kariera. Nie mogłem już być dżokejem. Lekarze zabronili mi dosiadać koni.

*

Pan Jerzy nie chciał rozstawać się z końmi. Został trenerem, a prócz tego rozpoczął pracę w szpitalu.

— Pracuję tu do dziś — kończy swą opowieść. — Moich koni nie zamieniłbym na żaden samochód, żaden samolot. Nie oddałbym ich za nic! Bo one potrafią naprawdę przyzwyczaić się do człowieka i okazać wdzięczność. Przykro, kiedy po wyleczeniu musimy się rozstać. Ale wolę je widzieć zdrowe na starcie, gdy jako sędzia wołam: jazda!, niż chore tu, w klinice.

— Chodźmy! — zwrócił się do mnie po chwili. — Damy „na dobranoc" trochę cukru moim czterem pacjentom.

Notowała:

T. DROGA-KUPCZYŃSKA

Foto: Maria Monasterska

*) d'or — franc. ze złota, złoty.

opada w dół. Ląduje na długości 87,5 metra. Na dodatek potyka się na zeskoku. Tylko na moment...

Już się zatrzymał, kręci jednak głową, jest niezadowolony. Wydaje mu się, że pogrzebał nadzieje na olimpijskie złoto. W oczach chłopaka pojawiają się łzy.

Teraz nie pozostaje mu już nic więcej do zrobienia poza oczekiwaniem na wyniki rywali. Po chwili Walter Steiner z NRD uzyskuje łączną notę gorszą zaledwie o 0,1 pkt. od Fortuny. A jeszcze nie startowali ci najgroźniejsi! Wojtek jest coraz bardziej załamany. Nie wie o tym, że jego rywale denerwują się podobnie jak on. Słynny Kasaya, w którego zwycięstwo początkowo nikt nie wątpił, nie może znaleźć sobie miejsca. Nie może się pogodzić z tym, że jakiś nieznany zawodnik wyprzedził go w pierwszej kolejce.

Kiedy więc Kasaya wzbił się w powietrze, zdumienie Wojtka przekracza wszelkie granice. Jego najgroźniejszy konkurent walczy w powietrzu o... utrzymanie równowagi. I on opóźnił wybicie. Miał i tak szczęście, że wylądował bez upadku.

— A więc mam „złoto"! — krzyczy uradowany Wojtek w stronę trenera. W tej chwili nie potrafi zachować powagi, cieszy się jak małe dziecko. Koledzy chwytają go na ręce, podrzucają do góry. Zewsząd cisną się ludzie, by obejrzeć polskiego zawodnika, dotknąć, pogratulować sukcesu. Tłum fotoreporterów celuje swe obiektywy w kierunku drobnej sylwetki Polaka, który urósł naraz do rozmiarów Goliata.

Po chwili następuje ceremonia wręczenia medalu. Przez mikrofony rozlega się głos spikera, oznajmiającego triumf Wojciecha Fortuny. Polska flaga wędruje na najwyższy maszt. Wrzawa cichnie, nad skocznią i trybunami rozlegają się dźwięki Mazurka Dąbrowskiego...

*

Zaraz po przyjeździe do kraju Wojtek wziął udział w Mistrzostwach Polski. Jeszcze raz pokazał na co go stać. Po pasjonującej walce wywalczył I miejsce na Dużej Krokwi i II na Średniej.

— Udział w igrzyskach i olimpijski medal zobowiązują — powiedział po zawodach Fortuna. — Zrobię wszystko, by w dalszym ciągu rozsławiać imię polskiego sportu i być godnym miana Olimpijczyka. Chyba nie zawiodę...

ZDZISŁAW PRZYBYŁOWSKI

Na mistrzostwach Polski w Zakopanem udowodnił, że jest godnym miana Olimpijczyka. Po pasjonującej walce pokonał krajowych rywali. Foto: CAF

Czytelnikom „Świata Młodych"
najlepsze życzenia i pozdrowienia
przekazuje
Wojtek Fortuna

MINIKARY NA START

DZIŚ SKRZYNKA ODPOWIEDZI

Każdego dnia napływa do do redakcji istna lawina listów. Konstruktorzy minikarów proszą nas o wysłanie kółek, o udzielanie rad dotyczących rozwiązań technicznych pojazdów, o podanie terminu rozegrania zawodów.

● **W ZWIĄZKU Z OGRANICZONĄ ILOŚCIĄ POSIADANYCH PRZEZ NAS KÓŁ INFORMUJEMY, ŻE JUŻ NIE PRZYJMUJEMY ZAMÓWIEŃ! Nie znaczy to wcale, że ci, którym nie dostarczymy kół, mają zrezygnować z budowy minikara. Koła można przecież wykombinować we własnym zakresie np. od starych wózków dziecięcych, czy małych rowerów... Radzimy więc Wam, byście odwiedzili składnicę złomu.**

Przypominamy, że największa dopuszczalna średnica kół do pojazdów Formuły A wynosi 350 mm, do minikarów Formuły B i B-Luks — 400 mm.

● **Duża ilość zamówień zmusza nas do tego, że w pierwszej kolejności wyślemy koła drużynom harcerskim i szkołom, które nadesłały zbiorowe zamówienia, opatrzone pieczątką.**

● **Niektórzy czytelnicy pytają, gdzie można nabyć gotowy pojazd. Otóż sprawa wygląda tak, że MINIKARA NIE MOŻNA NIGDZIE KUPIĆ, TRZEBA GO SAMEMU ZBUDOWAĆ według planów zamieszczonych w numerach 11 i 12 „Kalejdoskopu Techniki" z roku 1971. Regulamin zawodów wydrukowaliśmy w 14 numerze „Świata Młodych", z dnia 15 lutego br.**

● **We wszystkich sprawach technicznych konstrukcji minikara należy się zwracać do redakcji „Kalejdoskopu Techniki", Warszawa, ul. Czackiego 3/5.**

Ciekawy opis układu kierowniczego wraz z rysunkiem nadesłał nam Aleksander Gajda z Borzęcina, pow. Brzesko. Dziękujemy, gratulujemy pomysłu. List kolegi przekazaliśmy do redakcji „Kalejdoskopu".

● **Terminy rozegrania zawodów oraz ich miejsce podamy nieco później. Prawdopodobnie impreza odbędzie się podczas wakacji lub we wrześniu br.**

● **PROSIMY O NIEPRZYSYŁANIE DO REDAKCJI PIENIĘDZY NA ZAKUP KÓŁ! Wszystkie przyjęte zamówienia będziemy realizować za zaliczeniem pocztowym.**

Życzymy przyjemnej pracy nad konstrukcją minikara.

Sportowy Kapitan Minikarowców

ZDZISŁAW PRZYBYŁOWSKI

Ryszard Marek Groński

KROPLA DESZCZU NA DŁONI

9

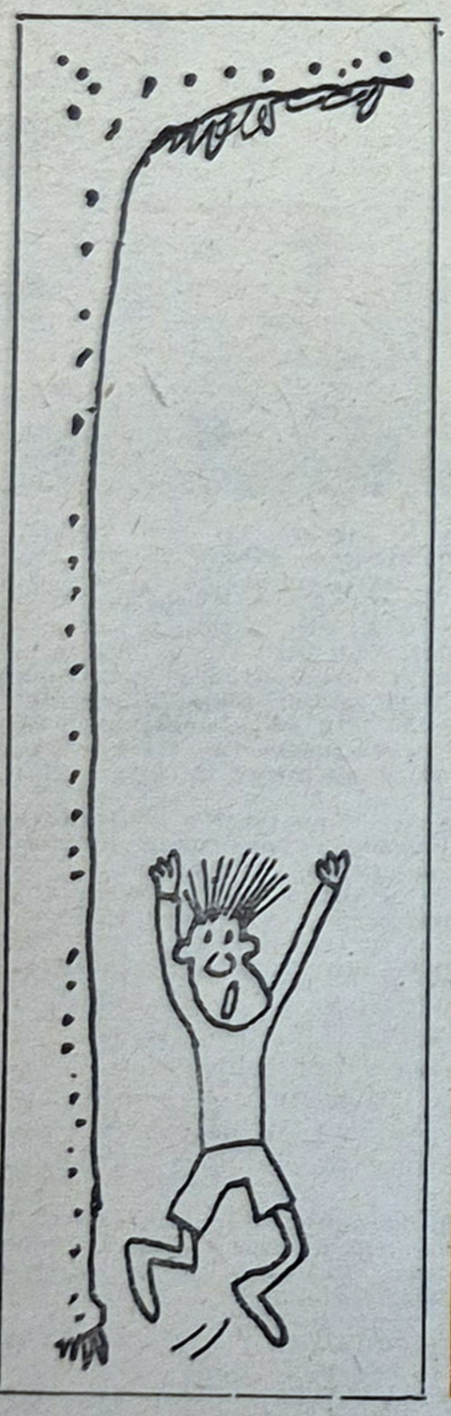

DLACZEGO NIE ODEZWAŁEŚ SIĘ, kiedy przechodziliśmy?

— Już miałem się odezwać, ale ten pies...

— Z zejściem też marudziłeś.

Nie mam zadatków na bohatera. Przestraszyłem się.

— Ale do bicia byłeś kogut, co...

— W obronie własnej. Wyłącznie w obronie własnej.

— Gdzie mieszkasz w Zakopanem? — bokser przerwał ciszę, jaka zapadła po tych słowach.

— Przyjechałem z ojcem. Zatrzymaliśmy się w willi „Różyczka". To taki pensjonat na ulicy...

— W „Różyczce"? Prawda, przecież ja cię już tam widziałem. Dlatego twoja buźka wydała mi się znajoma.

— A co robi twój ojciec? — znowu włączył się ten drugi.

— Ogląda telewizję. Angelikę wśród...

— Nie bądź taki cwany. Co on robi w Warszawie, bo ty jesteś z Warszawy, prawda, aniołku...

— Pracuje w spółdzielczości. Jest prezesem „Kubusia". Mój stary, to znaczy ta jego spółdzielnia, wyrabia zabawki. Na eksport nawet.

— Po co właściwie przyjechaliście do Zakopanego?

— Matka wyjechała do siostry w Londynie. (Wyobrażam sobie minę mojej mamy, gdyby usłyszała, że ma w Londynie siostrę!) Więc zwinęliśmy majdan i przyjechaliśmy tutaj wypocząć. Ponadto... — udałem wahanie.

— Co ponadto?

— Stary postanowił kupić w Zakopanem chatę. Obejrzał kilka obiektów do sprzedania. Podejrzewam, że podjął już wiążącą decyzję. Dotyczy ona willi „Krokus". Panowie pewnie wiedzą: to taki różowy domek z pralnią...

— Jesteś pewny, że twój papa zdecydował się na kupno?

— Powiedział mi to dzisiaj po śniadaniu.

Zapadła cisza. Jedynie pies warczał obnażając kły. Góral tarmosił go za uszy.

— Skoro zabłądziłeś, musimy ci pomóc. Odwieziemy cię do „Różyczki". Twój papa pewnie się denerwuje — rzekł bokser.

— Wiemy coś o tym, bo sami jesteśmy nerwowi — dodał jego pomocnik. — Wybacz, że początkowo odnosiliśmy się do ciebie trochę szorstko, ale las to nie salon. Obowiązują w nim inne prawa. Inne zwyczaje.

Pomyślałem o Felku. Zajęci mną, nie zadali sobie trudu, by sprawdzić czy na drzewie jeszcze ktoś się nie zamelinował. Świadomość jego obecności dodała mi otuchy. Szliśmy przez las. Ja po środku, za mną bokser, przede mną jego pomagier i góral z psem. Byliśmy już chyba w połowie drogi do szosy, gdy latarka zgasła. Tamci uskoczyli w bok. Poczułem, że lecę w dół. Podobno w chwili spadania przesuwa się przed oczyma całe życie. Guzik prawda. Nic mi się nie przesuwało. To nie fotoplastikon z kolorowymi obrazkami. Walnąłem o coś głową i znowu zerwał mi się film...

Nie wiem, ile czasu trwało, zanim oprzytomniałem na tyle, by zdać sobie sprawę z tego, gdzie jestem. Posuwając się na czworakach zdołałem ustalić, iż znalazłem się w ziemiance, wykopanej na znacznej głębokości. Powietrze dochodziło tu przez szczelinę umieszczoną tak wysoko, że byłoby rzeczą co najmniej dziwną, gdyby ktoś usłyszał wołanie o pomoc. Ściany ziemianki były gładkie, absolutnie nieprzyczepne. O jakimkolwiek podciągnięciu się — mowy być nie mogło. Niewiele bym zresztą w ten sposób osiągnął: nad głową zwisały ciężkie drewniane bele, dno ziemianki pokrywała maź — lepka i gęsta. W kącie sterta szyszek i igieł imitowała łóżko. Tzw. rozsądne myślenie nie przychodziło mi łatwo. Mogłem liczyć jedynie na Felka. Pod warunkiem, że tamci go nie schwytali i że zauważył zamaskowane wejście do wykopu. W przeciwnym razie sytuacja nie przedstawiała się różowo.

Po raz pierwszy w życiu bałem się naprawdę. Bałem się nieznanym mi dotąd rodzajem strachu. Byłem sam. Jedynie ból mnie nie opuścił: zanim znalazłem się w tym dole, oprychy zdołały mnie zdrowo wymaglować.

(**opis Strachu** — wiem, że ten opis trudno zaliczyć do opisów przyrody, ale...)

Klapa maskująca ziemiankę poruszyła się. Spojrzałem na zegarek: dwadzieścia pięć po dwunastej. Nade mną pochyliły się dwie twarze: pomocnika boksera i starego górala. Vice-bokser zrzucił drabinkę.

— Wyłaź — rzekł. — Pamiętaj: żadnych głupich kawałów. Już ci mówiłem, że nerwy mam jak postronki.

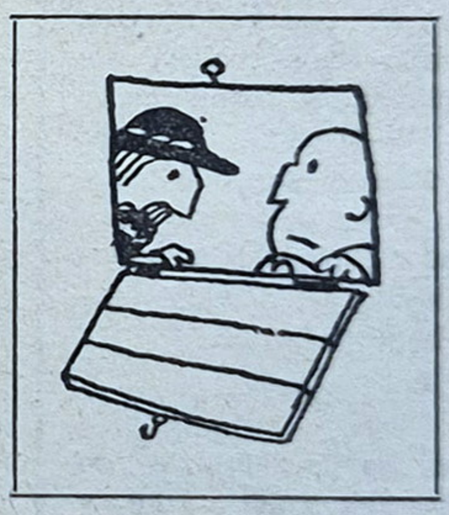

— O co panom chodzi? — usiłowałem grać nadal rolę zastraszonego przygłupa, nie orientującego się, w co wdepnął.

— Dowiesz się przy okazji — kumpel boksera obserwował mnie z napiętą uwagą. Pchnięcie nadało mi kierunek marszu. Szliśmy w stronę szałasu. Przy nodze biegł pies, obwąchując mnie podejrzliwie. Oto i szałas.

Weszliśmy do środka. Zagracona izba, zamieniona w skład jakichś narzędzi. Otwarta klapa w podłodze. Drewniane, zbiegające w dół schodki. Zapach wilgoci i pleśni.

— Dalej, na co czekasz — góral świecił latarką, obserwując jak opuszczam się coraz niżej i niżej. Potem klapa zamknęła się. Usłyszałem szurgot: przystawiano ją czymś ciężkim.

W piwnicy panował mrok. Dopiero po dłuższej chwili zacząłem rozróżniać kontury przedmiotów. Jakieś skrzynie. Dębowa beczka. Za nią leżał na gołej ziemi skulony mężczyzna.

— Hilfe — dobiegł mnie jego szept. — Hilfe...

To był Niemiec z „Różyczki". O rozmowie z nim nie można było marzyć. Niemiec oddychał z widocznym wysiłkiem. Głowę miał obwiązaną szmatą, przez którą przesiąkała krew. Gorączkował, i to wysoko. Z półotwartych ust sączyło się wołanie o ratunek. Odczołgałem się kawałek dalej. Przysiadłem na tekturowej pace. Nic, cisza. Znowu pozostało mi liczenie na cud, chociaż stary zawsze powiada, że cudów nie ma.

Na górze rozległ się szurgot. Huk odrzuconej klapy zabrzmiał jak wystrzał. Ktoś zagwizdał. Nie chciałem wierzyć własnym uszom. Nie, to byłoby zbyt piękne.

— Felek... Felek...

— Żyjesz? — usłyszałem pytanie.

— Jeszcze żyję.

— Wyłaź. Ale pośpiesz się, bracie. Władowaliśmy się w nielichą kabałę.

Gramoliłem się po stopniach drewnianych schodów z uczuciem niewypowiedzianego szczęścia. Zmęczenie ze mnie opadło, ból przestał ćmić.

— W piwnicy jest jeszcze ten Niemiec — powiedziałem ściskając dłoń Felka.

— Wiem. Podsłuchałem rozmowę. Na razie nie możemy nic dla niego zrobić. Sami musimy dać stąd dyla. Im wcześniej, tym lepiej.

— On jest chory. Ma silną gorączkę.

— Później się nim zajmiemy. Pomóż mi przesunąć skrzynię. Sympatyczni gospodarze nie powinni zmiarkować od razu, że ciebie nie ma.

C.D.N

„SWIAT MŁODYCH" — GAZETA HARCERSKA — ukazuje się we wtorki i piątki. REDAGUJE ZESPÓŁ. Red. nacz. JERZY MAJKA, tel. 21-15-61. Sekretarz redakcji — 28-25-48. Sekretariat administracji — 21-15-61. Wydawnictwo „PRASA MŁODZIEZOWA I SPORTOWA". RSW „Prasa". Warszawa, ul. Bagatela 14. Dyrektor Wydawnictwa, tel. 28-09-73. Dział Wydawniczy, tel. — 29-35-52. Biuro Ogłoszeń — Warszawa, ul. Bagatela 14, tel. — 21-21-29. Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa" W-wa, ul. Marszałkowska 3/5. Prenumerata miesięczna zł 4.30, kwartalna zł 13.00. Wpłaty przyjmują Urzędy Pocztowe i listonosze wiejscy do dnia 15 każdego miesiąca. Wpłat dokonywać można również na konto PKO Nr 1-6-100020 — Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch", W-wa, ul. Towarowa 28 do dnia 10 miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 40 proc. droższa od prenumeraty krajowej przyjmuje Biuro Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych „Ruch" Warszawa, ul. Wronia 23, konto PKO Nr 1-6-100024. Sprzedaż egzemplarzy numerów zdezaktualizowanych, na uprzednie pisemne zamówienia, prowadzi Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch" Warszawa, ul. Towarowa 28. ADRES REDAKCJI: WARSZAWA, UL. MOKOTOWSKA 24. Niezamówionych materiałów redakcja nie zwraca. Numer indeksu — 35039.

Zam. 915 A-50

KIM ZOSTAĆ ?

Najbliższa im ziemia

NASZ SAMOCHÓD mija Mińsk Mazowiecki i skręca w boczną polną drogę. Po chwili zatrzymujemy się w Janowie przed pięknym pałacykiem, gdzie mieści się Zasadnicza Szkoła Rolnicza. Kilka dni wcześniej, gdy przeglądaliśmy spis zasadniczych szkół rolniczych, wybraliśmy tę właśnie w Janowie, wcale jej nie znając...

Właśnie dlatego, że wpadamy tak bez uprzedzenia, możemy — po zameldowaniu się oczywiście u p. dyr. Mieczysława Kwiatkowskiego — poznać jeden ze zwykłych, szkolnych dni. Zaglądamy więc do sal wykładowych, do pracowni, w której odbywają się zajęcia krawieckie, uczestniczymy w południowym udoju krów.

Szkoła stanowi miniaturowe gospodarstwo rolne. W salach odbywają się lekcje, w oddalonym nie więcej jak sto metrów państwowym gospodarstwie rolnym — zajęcia praktyczne. W PGR uczniowie poznają zasady działania i najprostszych narzędzi rolniczych, i skomplikowanych maszyn.

Czystość i porządek aż uderzają w oczy. Nigdzie nie widać śladów błota. Wszędzie pełno kwiatów. Z kuchni wydobywają się smakowite zapachy. Pokoje w internacie są przytulne i estetycznie urządzone.

Przed dwa lata tu, w tej szkole, zdobywają wiedzę ci, którym ziemia jest najbliższa. Po ukończeniu ZSR otrzymają dyplom wykwalifikowanych rolników i wrócą do swoich gospodarstw. Będą tak samo miłować ziemię, ale gospodarować lepiej i nowocześniej.

Dziewczęta w Janowie uczą się samodzielnie modelować sukienki, bluzki, spodnie i szyć na maszynie. Na drugim roku każda potrafi już uszyć sukienkę wizytową. Zdobywają też prawo jazdy do prowadzenia motocykli, chłopcy zaś kończą szkołę z prawem jazdy na motocykl i ciągnik.

Coraz więcej prac gospodarskich wykonują maszyny. Pewnie, że dziś jeszcze rzadkością są w chłopskich gospodarstwach elektryczne dojarki. Ale któraż z dziewcząt z Janowa, po powrocie do domu, nie zacznie myśleć o kupnie dojarki, skoro przekonała się, że dojenie z pomocą maszyny trwa 2—3 minuty, ręcznie — do 15 minut. I wymaga wysiłku.

To właśnie chcieliśmy Wam opowiedzieć o szkole w Janowie, w której można się nauczyć nowocześnie gospodarować i nowocześnie myśleć.

ROMA JABŁOŃSKA
Foto: Władysław Juzwik

BIURO POŚREDNICTWA

...przedstawia dziś ZASADNICZĄ SZKOŁĘ ROLNICZĄ W JANOWIE

KSZTAŁCI ONA wykwalifikowanych rolników i robotników rolnych. Jej ukończenie uprawnia do samodzielnego prowadzenia gospodarstwa rolnego lub do podjęcia pracy w państwowych gospodarstwach rolnych. Absolwenci ZSR mają prawo kształcić się dalej w 3-letnich technikach rolniczych.

Do szkoły przyjmowani są chłopcy i dziewczęta, którzy ukończyli VIII klasę, głównie dzieci rolników, posiadający dobry stan zdrowia (przeciwskazania: choroby reumatyczne).

Nauka trwa 2 lata. Po pierwszym roku, w okresie wakacji, uczniowie są obowiązani do odbycia 4-tygodniowej praktyki w gospodarstwie rolnym.

Zasadnicza Szkoła Rolnicza w Janowie zapewnia wszystkim uczniom miejsca w internacie. Pełne stypendium wynosi zł 519.— Stypendia otrzymują uczniowie osiągający dobre wyniki w nauce. Raz w miesiącu uczeń może wyjechać do rodziny.

Szkoła udziela dodatkowych informacji wszystkim, którzy zwrócą się listownie do dyrekcji na adres: JANÓW, P-TA IGNACÓW, POW. MIŃSK MAZOWIECKI.

JAK WYGLĄDA KRÓL

NASZ OSTATNI WŁADCA Stanisław August Poniatowski (1764—1798) zwyczajem swych królewskich poprzedników jeździł w „teren". Wolał osobiście zobaczyć jak żyją jego poddani.

Los chłopa polskiego w owych czasach nie był do pozazdroszczenia; przeciążony pracą i wyzyskiwany, niechętnym okiem patrzył na swego pana. To samo działo się z mieszczaństwem, zwłaszcza prowincjonalnym.

Król, ubrany raczej skromnie, bez oznak i godeł władcy, bez obowiązującej świty, w towarzystwie dwu przyjaciół i stangreta zwiedzał wsie i miasteczka.

Pewnego razu kareta królewska zatrzymała się na rozstaju dróg. Stangret pytał o drogę chłopca, który na pobliskiej łące pasł krowy. Wysiadł i król. Wywiązała się krótka rozmowa z pastuszkiem, w czasie której padło pytanie:

— Jak myślisz, kim jestem? — pyta król.

— Albo ja wiem, może ksiądz, albo dziedzic — powiedział chłopiec.

— Nie zgadłeś; więc kto jestem?

— Musi jaki wielgi pan!

— Nie. Ja jestem królem, królem polskim — oświadczył Stanisław August.

— Eee... — żachnął się chłopiec — to nieprawda. Bo jak mój tata grają w karty, to na obrazku król ma dwie głowy... (mk)

Tak postępują harcerze

Jesteśmy im bardzo wdzięczni

MOJA RODZINA kilkanaście lat temu składała się z pięciorga rodzeństwa i rodziców. Niedawno starsza siostra i bracia usamodzielnili się i wyprowadzili z domu, gdzie wraz z rodzicami zostałam ja oraz mój brat bliźniak.

Życie zaczęło nam się lepiej układać, ponieważ obydwoje rodzice pracowali. I właśnie wtedy spadł na nas ciężki los — zginął tragicznie ojciec.

Po roku, gdy trochę ochłonęliśmy po tej strasznej tragedii, spotkało nas następne nieszczęście. W nocy Pogotowie Ratunkowe zabrało do szpitala mamusię. Teraz zostaliśmy już zupełnie sami, bez żadnej opieki, bez dobrych praktycznych rad. Spadły na mnie wszystkie obowiązki gospodyni, czyli pranie, sprzątanie, gotowanie itd.

Do tego dochodziło obrządzanie gospodarstwa, wprawdzie niewielkiego, ale zawsze. I właśnie w najcięższych zajęciach pomogli nam harcerze z miejscowej drużyny, którą prowadzi druhna hm Maria Dziurdzia. Za ten szlachetny czyn wraz z bratem jesteśmy im bardzo wdzięczni. I naprawdę nie wiemy, jak harcerzom mamy tę wdzięczność okazać. (bs)

MAŁGORZATA FIREK
STRÓŻA, pow. Myślenice

BOLEK i LOLEK

NA DZIKIM ZACHODZIE
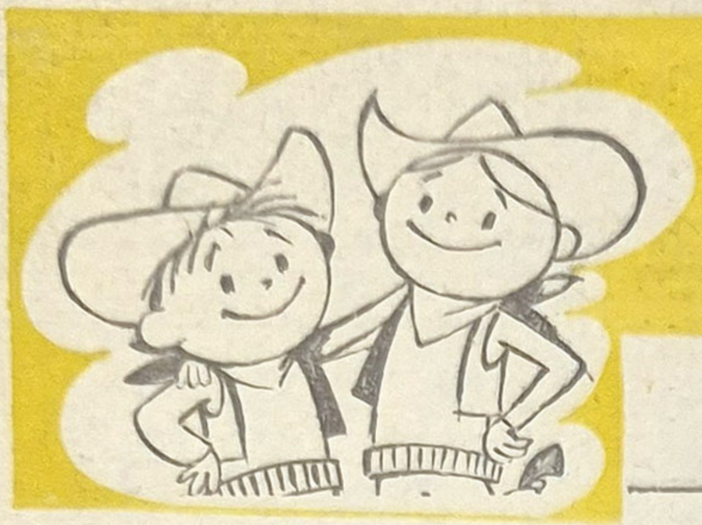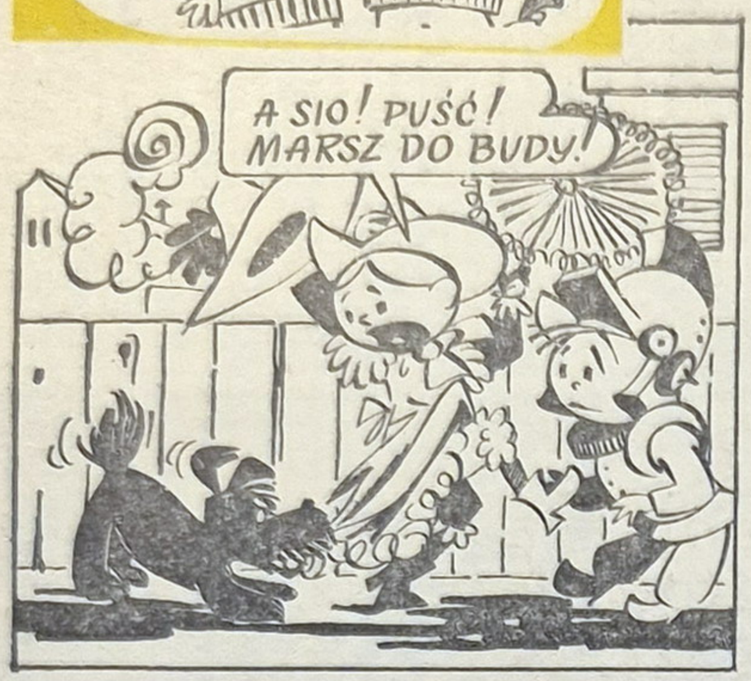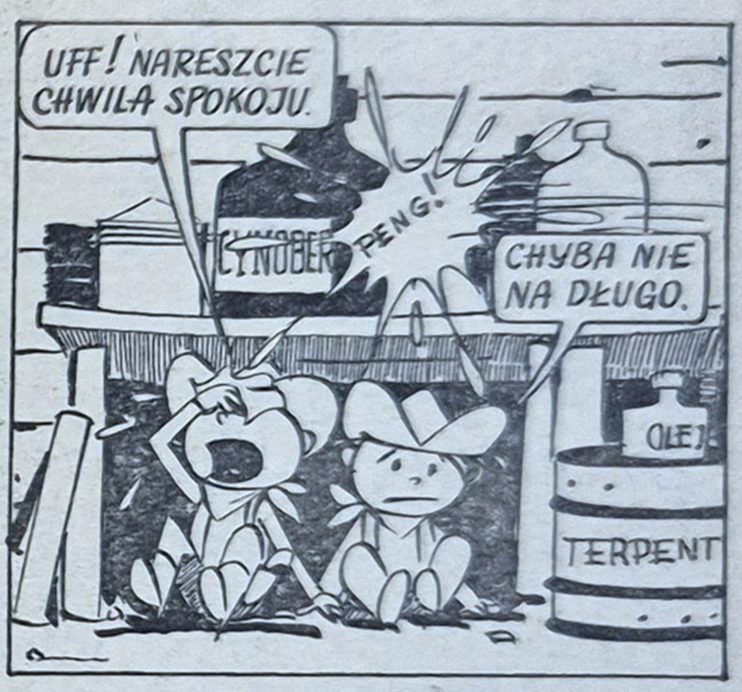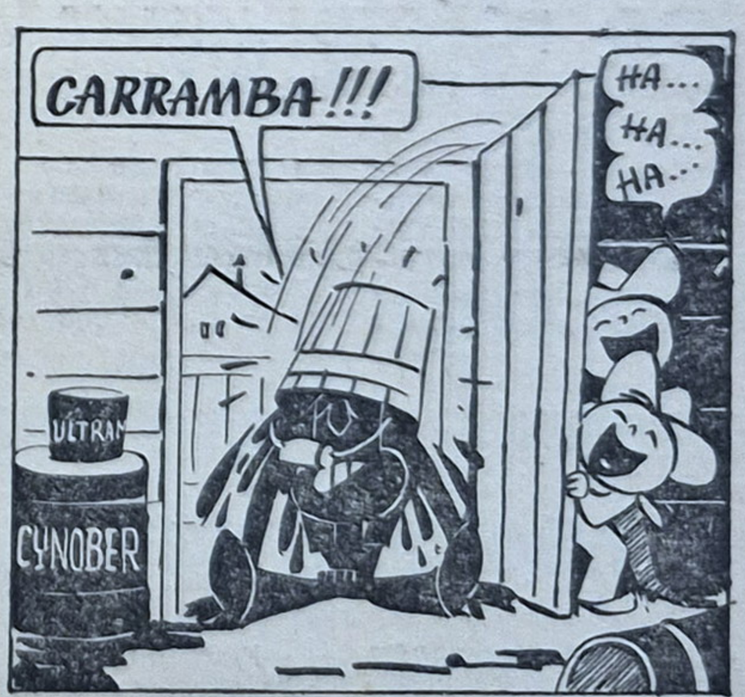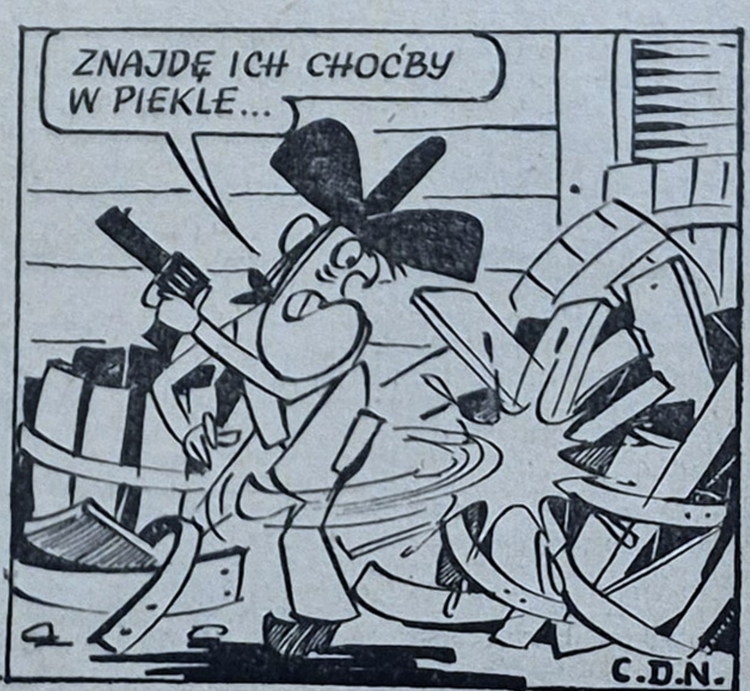
Scenariusz:
WŁ. NEHREBECKI
Rysunki:
ST. DÜLZ